

Przed wyborami | Dziwne rzeczy się dzieją...

Bajka o dobrym radnym i złym dziennikarzu

Działo się gdzieś w Polsce, dawno, dawno temu... Dziadkowie opowiadają tę historię wnuczkom, gdy te są niegrzeczne. Przed wyborami opowiemy ją naszym czytelnikom.

Gdy przed kilkoma miesiącami Maciej Działkowicz*, radny z pewnego miasteczka kandydował i został wybrany do władz swego osiedla, dziennikarz lokalnej gazety zdziwił się. Gdy jednak zobaczył pierwsze jego banery ujawniające, że kandyduje ponownie na radnego, zdziwienie wzrosło. Bowiem kandydat miał na swoim koncie zdarzenie, które kazało postawić pytanie, czy radnym być powinien.

Dziennikarz uważał, że od radnego bardziej niż od osoby nie angażującej się w życie publiczne (w którym decyduje się o wielkich pieniądzach) wymaga się rozsądku, opanowania, umiejętności powstrzymywania emocji, kultury osobistej i – nomen omen - trzeźwego myślenia. Do uznania wyborców będzie, czy kandydat te cechy charakteru gwarantuje – ale wyborcy mają prawo znać okoliczności, które powinny skłaniać ku refleksji.

Tymczasem dziennikarz pamiętał, że kilkanaście miesięcy wcześniej informował o zdarzeniu, jakie miało miejsce w szpitalu w tym miasteczku, gdy tenże radny użył siły fizycznej wobec lekarza, który go przyjął na oddział i się nim opiekował. O zdarzeniu informowały też inne media.

Dziennikarze z redakcji gazety pisali potem, że wszczęte zostało przez prokuraturę postępowanie, w trakcie którego przedstawiono Działkowiczowi zarzut naruszenia nietykalności cielesnej lekarza w trakcie wykonywania przez niego obowiązków służbowych oraz znieważenia go słowami powszechnie uważanymi za obelżywe – tj. o czyn z art 222 par. 1 w zw. z art 226 par. 1 i w zw. z art 11 par. 2 k.k.

A jeszcze później informowali, że postępowanie zostało ostatecznie umorzone, bez kierowania aktu oskarżenia. Wielu czytelników zadawało wtedy pytanie jak mogło do tego dojść, że po takiej sprawie napastnik nie poniósł konsekwencji.

Dziennikarz przeczytał wtedy dokładnie akta sprawy, ale nie robił z nich użytku pisząc artykuł, bowiem wydawało mu się, że po takim zdarzeniu, nawet jeśli doszło do umorzenia, radny raczej będzie chciał zniknąć z życia publicznego. O naiwności!

Decyzja Macieja Działkowicza o kandydowaniu sprawiła, że okoliczności zdarzenia i fakty, które wpłynęły na decyzję prokuratury, dziennikarz zdecydował się ujawnić. Nie są związane bezpośrednio z działalnością publiczną Działkowicza, ale czy mieszkańcy mogą od nich zupełnie abstrahować podejmując decyzję na kogo oddają głos? - pomyślał sobie.

Agresywny i wulgarny

Opisy zdarzenia zawarte w aktach są spójne, od pierwszej notatki policyjnej z pewnego jesienno-go dnia, przez zeznania świadków: zaatakowanego lekarza i pielęgniarek oraz policjantów. Radny został przywieziony na oddział chirurgiczny już po opatrzeniu głowy na izbie przyjęć, po przebytym urazie, którego doznał przewracając się w stanie upojenia alkoholowego. Do wypadku doszło po tym, gdy – jak zeznał podczas badania przez biegłych - wysiadł z autobusu. Potem już nic nie pamiętał.

W szpitalu nadal był nietrzeźwy, zapach alkoholu był od niego wyraźnie wyczuwalny, zachowywał się wulgarnie i agresywnie w stosunku do lekarza i pielęgniarek. Wyzwisk, jakich używał, w bajce się nie opowiada, nie jest miejscem na takie wyrażenia, mogłyby zniesmaczyć nawet dorosłych.

Działkowicz został przywieziony na oddział na łóżku transportowym, odmawiał położenia się do łóżka szpitalnego, po czym wstał mówiąc, że musi iść do toalety, ruszył korytarzem, a po kilku krokach przewrócił się na skutek utraty równowagi. „Pomogłem mu wstać, a on odwrócił się do mnie i zadał mi cios poprzez wysokie kopnięcie prawą nogą trafiając mnie w górną część lewego ramienia” – zeznał lekarz. „Wyglądało to jakby jakieś sztuki walki znał. Jakby któraś z nas tam stała i by tak kopał, dostałybyśmy w głowę” - zeznała jedna z pielęgniarek. Przy tym cały czas przeklinał.

Pacjent nie był badany na zawartość alkoholu, ale silna woń alkoholu była od niego wyczuwalna.

Zadecydowała opinia biegłych

Sam podejrzany (wtedy taki był jego status) zeznał, że zrozumiał zarzut, ale odmówił odpowiedzi na pytanie, czy się do niego przyznaje i odmówił składania wyjaśnień. Zadziałał za to wynajęty przez niego obrońca, składając wniosek o dopuszczenie dowodu z opinii biegłego z zakresu neurologii i psychiatrii na okoliczność ustalenia jakich obrażeń jego klient doznał tamtego dnia, czy te obrażenia miały, a jeśli tak to jaki miały wpływ na jego zachowanie, w szczególności czy doznane obrażenia głowy miały wpływ na zdolność rozpoznania przez niego znaczenia swojego czynu i kierowania swoim postępowaniem (tzw. poczytalność *tempore criminis*).

Okolo dwóch miesięcy po zdarzeniu prokuratura w tym miasteczku postanowiła o powołaniu dwóch biegłych psychiatrów i jednego psychologa. Przebadali oni podejrzanego dwa dni później. Zapoznali się z kartą informacyjną ze szpitala, na której zapisano rozpoznanie: Uraz śródczaszkowy. Efekt toksyczny alkoholu. I dalej w opisie m.in.: rana tłuczona głowy z pourazowym krwawieniem podpajęczynówkowym i upojenie alkoholowe.

Biegli stwierdzili: „Dochodzimy do wniosku, że w dniu objętym zarzutem doszło (u Macieja Działkowicza) do nieokreślonych zaburzeń świadomości o etiologii wieloprzyczynowej związanej bardziej z przebyтым urazem mózgowia, w tym krwawieniem podpajęczynówkowym, a w mniejszym stopniu z powodu upojenia alkoholowego.”

Kluczowe dla sprawy miało stwierdzenie w podsumowaniu opinii: „*Tempore criminis* miał całkowicie zniesioną zdolność rozpoznania czynu oraz możliwość pokierowania swoim postępowaniem. Zachodzą przesłanki art. 31 par. 1 k.k.”

Wszyscy troje biegli zostali mimo to wezwani jeszcze na przesłuchanie do prokuratury – ale i tu podtrzymali swą opinię. Okazano im dokumentację ze szpitala, po zapoznaniu się z nią biegli zeznali, że nie wpływa ona na treść ich opinii. „Gdyby nie doszło do urazu głowy, to samo upojenie alkoholowe nie skutkowałoby zachowaniem wskazanym w zarzucie” – stwierdzili biegli.

Prokuratura nie miała wyjścia. 30 stycznia umorzono dochodzenie z uzasadnieniem, że „czynu dopuścił się mając całkowicie zniesioną zdolność rozpoznania czynu oraz możliwość pokierowania swoim postępowaniem”.

Smutny koniec opowieści

Opowiadając wnukom tę bajkę dziennikarz za każdym razem starał się uśmiechać, ale mu to nie wychodziło. Chciał dzieciom wpajać, że kandydat do funkcji publicznej powinien sobie zdawać sprawę, że ocenie będą poddawane jego kwalifikacje, nie tylko zawodowe, ale i ogólnoludzkie. Do nich z pewnością należy umiejętność takiego kierowania swoim życiem, by nie doprowadzać się do upojenia alkoholowego, po którym człowiek doznaje urazu – nie wiedząc nawet jak do niego doszło. Tak poważnego, że staje się niepoczytalny.

Chciał też im przekazać, że komitet, z którego ten człowiek startuje, powinien był się zastanowić kogo bierze na listy kandydatów.

Tyle, że obowiązujące w kraju prawo zakazuje dziennikarzom publikować bez zgody zainteresowanego informacji o zdarzeniach z prywatnej sfery jego życia jeśli nie dotyczą one bezpośrednio jego działalności publicznej.

Niestety, happy endu w tej bajce więc nie było. Biegli swą opinią sprawili, że Działkowicz uśmiecha się z plakatów do mieszkańców swego miasteczka. I jest zadowolony.

Może kiedyś inne zakończenie bajki napiszą wyborcy?

* Imię i nazwisko podane jest fikcyjne, wszelkie okoliczności podane w tej bajce nie mają żadnego odniesienia do rzeczywistych postaci ani miejsc. Doszukiwanie się jakichkolwiek tego typu podobieństw jest nieuprawnione.